

Kandyd dostaje zadyszki

Dworują ze wszystkiego, gonią bez tchu, zasapać się można, oko i umysł nie nadąża. Kandyd trwa w oniemienu, publika w chichocie, a potem już nic nie jest takie jak kiedyś.

Świadomość, że czekoladę mamy dzięki francy Kolumba, a Marley działał w Holandii już trzy wieki temu, zmienia perspektywę.

MONIKA ŻMIJEWSKA

To, że Paweł Aigner narzuci szaleńcze tempo, a najnowszy spektakl w Białostockim Teatrze Lalek wraz z doborową ekipą lalkarzy zamieni w istny fajerwerk, było do przewidzenia - kto widział ostatnio choćby „Texas Jimma”, czy wcześniej „Księżniczkę Anginę” w jego reżyserii, ten wie. To, że „Kandyd czyli optymizm” Woltera jest oświeceniową powieścią drogi, a więc z założenia historią dość dynamiczną - też w sumie wiemy. A jednak to, co reżyser uczynił z filozoficznej powiastki na scenie BTL, jak wolterowską ironię pożenił z autorskim żartem inscenizacyjnym, jak brawurowo wsadził zespół na stół i wysłał (publiczność zresztą też) na fizyczną i mentalną przebieżkę przez kraje, epoki i ludzkie nieprawości - jednak zdumiewa. Zadziwia uniwersalny wymiar historii sprzed blisko trzech stuleci, zadziwia znakomity pomysł na jej sceniczne przywrócenie współczesnym.

Kandyde! Warum?

Aigner, posługując się świetną adaptacją sprzed kilku dekad Macieja Wójtyłki i Krzysztofa Orzechowskiego, mając do dyspozycji fantastyczny zespół, który na scenie dwoi się i troi do ostatniego tchu - stworzył spektakl szalony, bardzo autorski - taki, który chce się obejrzeć po raz drugi już w kilka godzin po jego obejrzeniu.

Bo perypetie Kandyda (świetny, wiecznie zadziwiony, poprawiający okulary Michał Jarmoszuk) - naiwnego chłopca, który wygnany „z ziemskiego raj”, jakim jest zamek w Westfalii, tuła się po świecie i mierzy swój optymizm ze złem świata - to jedno. Ważne, ale wcale nie najważniejsze. Równie ważne bowiem jest to, co w tym wszystkim drugie - czyli całe życie między wierszami, niekoniecznie popychające fabułę do przodu. Ów inscenizacyjny i aktorski sztafaj, arsenał min, gestów, westchnień, okrzyków, fenomenalnie zagrany przez aktorską kompanię - o, to prawdziwy cymes dla oka i ucha.

Kunegunda (Sylwia Janowicz-Dobrowolska) roni łzy po wygnaniu Kan-

AGNIESZKA SADOWSKA



Mateusz Smaczny i Michał Jarmoszuk

dyda? Owszem. Ale powiedzieć, że rozpacza - to nic nie powiedzieć. Na scenie BTL to spektakl w spektaklu - popis afektacji, hysterii, omdleń, okrzyków „Por que Kandyde! Warum?”, mistrzostwo świata, których wykrzykniki i znaki zapytania w opisie nie są w stanie opisać, to trzeba zobaczyć. I śmiać się do łez, bo to histeria, która wzbudza chichot publiczności, tak jest przerysowana i sparodiowana.

I słoń morski, i sztorm

I takich fantastycznie zagranych scen, scenek, drobiażdżków, które dzieją się na scenie w tym samym czasie, że oko nie nadąża i czasem trudno je wszystkie wyłapać - są w spektaklu dziesiątki. Jego twórcy żartują sobie bowiem absolutnie ze wszystkiego. Okazuje się, że można przecieć coś, zdawałoby się blałego, rozciągnąć niemożliwie, stworzyć nową jakość i wznieść ją na wyżyny ironii. Można zagrać didaskalia, odautorskie uwagi, scenograficzne opisy. Zagrać można też okoliczności przyrody - trzęsienie ziemi, rozświetlony las, fruwające ptaszki, pływające rybki. Ba, słoń morskie nawet, i fale! Cóż to jest za słoń i fala... a gdy jeszcze ma rysy Ryszarda Dolińskiego, który toczy się przez scenę, wywołując falę śmiechu, to właściwie niewiele więcej trzeba.

I niech się widzi nie martwi, że właśnie ukradziono mu przyjemność z niespodzianki - takich niespodzianek jest w spektaklu zatrzęsienie, na pewno dla wszystkich wystarczy. Tu nic nie jest stabilne, niespodzianka czać się może wszędzie, twórcy bowiem nieustannie przesuwać akcenty, przedstawiają emocje, fundują nieustające wolty, zderzając pozornie nieprzystające do siebie porządki i gesty. Bawią się językiem, narodowymi stereotypami, polityczną (nie) poprawnością. Nawet cyniczni przedstawiciele Kościołów różnych wyznań, nawet córka papieża o skomplikowanym życiorysie i wyciętym kawalkiem poślodka (brawurowa Barbara Muszyńska), nawet mniejszości seksualne są w tym tygł. Ci ostatni to prześmieszny śpiewająco-tańczący duet dwóch werbow-

ników do armii w odzianych w stroje w klimacie sado-maso (przekomiczni Krzysztof Bitdorf i Mateusz Smaczny).

Dziesiątki przebieranek

Tygiel jest bardzo pojemny, Wolter w końcu powołał do życia mnóstwo postaci, których Kandyd, jego sługa i nauczyciel Pangloss (kapitałny Błażej Piotrowski, który w opowieści o genealogii francy swojego bohatera przechodzi sam siebie) spotykają w podróży przez zwichrowaną Europę, siekają przez wojny i inkwizycję. Nie sposób nawet wszystkich wymienić, podobnie jak poszczególnych ról, które odgrywa zaledwie 9-osobowy zespół. Jest w nieustającym ruchu, co chwila wskakuje w nowe ciuchy i zmienia się całkowicie (ten spektakl wymaga od wszystkich naprawdę niezłej kondycji, umiejętności aktorskich i pracy w zespole).

Choćby Doliński - baron, fala, grom, słoń morski, inkwizytor, imam, lubieżny don Fernando, gospodarz Eldorado... - a to i tak nie wszystkie jego wcielenia. I tak - poza Kandydem Jarmoszuka, który spaja wszystkie wydarzenia swą postacią o zdziwionej fizjonomii - jest praktycznie ze wszystkimi aktorami.

A że klimat spektaklu nieustannie się zmienia (wolterowskie wariacje powieści lotrzykowskiej, romanisu, powiastki filozoficznej, to jedno, zaś autorskie szaleństwa Aignera - to drugie), można mieć nieustające wrażenie, że spektakl nieustannie buzuje, jest wewnętrznie rozwibrowany, niespokojny, nieobliczalny. W tym wewnętrznym napięciu jest metoda - blisko trzy godziny (choć dłuższy niekiedy też się zdarzają) - zlatują nie wiadomo kiedy.

Stół w centrum

W białostockiej adaptacji pomieścić się może jeszcze parodia opery (bo chyba tylko ton operowy i absolutny nawias zdzierży opowieść Kunegundy o jej przechodzeniu z łóżka żydowskiego do biskupiego). Pobrzmiwa tu echo musicalu (historia o utracie

niu męskich klejnotów wyśpiwana przez obiecującego Filipa Gurlacza), pantomimy (sceny ucieczki przez bagno), kabaretu, różnych filmowych i literackich tropów. Słowem - „Kandyd” w BTL to stylistyczny bardzo ciekawie podany przekładaniec. Z fantastyczną muzyką na żywo, dobrze zaśpiewanymi piosenkami, a nawet fechtunkami.

Dopieszczona jest ekspresyjna choreografia (Karolina Garbacik). Oko cieszą barokowe, ze współczesnymi wtrętami kostiumy (wśród nich - nawet stylizacja na świece opuchnięte od kąpiącej stearyny; intrygująca i sensowna!). Ascetyczna scenografia - jest jednocześnie i czytelna, i nieoczywista. Pavel Hubicka, który współpracuje z Aignerem i BTL-em od lat, opakował scenę w czarny opalizujący materiał, postawił na minimalizm i umowność scenograficznych znaków, z których najważniejszy jest stół. I to właśnie wokół niego koncentrują się głównie świetne sceny zbiorowe, to on jest punktem ciężkości w tym spektaklu. Czasem aż trudno uwierzyć, że cała aktorska dziewiątka może się na nim pomieścić. Stół staje się polem bitwy, szubienicą, lożem rozkoszy, miejscem do wciągnięcia kreski przez rastamana na wcięciu Marleya na piersi (skoro już jesteśmy w Amsterdamie), czy wreszcie rozchytaną łajbą, która kojarzy się z malarską „Tratwą Meduzy” Gericaulta. W finałowej scenie, przechylony, zniszczony, popękany stół zdaje się być alegorią rozpadającej wiary Kandyda, którego optymizm od licznych wyrw w końcu kruszeje na amen.

I straszno, i śmieszno

Niech nikt nie myśli jednak, że spektakl budzi wyłącznie śmiech, jest dekoracyjną błahostką i pustym popisem aktorskich umiejętności. Nie raz, i nie dwa śmiech więźnie w gardle, od suchego opisu ludzkich nieprawości i gwałtów cierpienie skóra, ale przyjęta przez Woltera (i Aignera) konwencja żartu, ironii i rubasznego tonu to najwyraźniej rodzaj obrony umysłu przed tymi okropieństwami. Spektakl funduje nam nieustanną ambiwalencję

- jak choćby w scenie wieszania Panglossa. Jest ona i śmieszna, i straszna, tak jak i komiczny, i przerażający jest inkwizytor, pojadający z wytrzeszczonymi oczami orzeszki i obserwujący miotanie się wieszanego i wieszających niczym mecz piłkarski.

Albo kłótnia groteskowych dowódców wojsk dwóch państw ganiających wokół stołu i przekrzykujących: „Mój pan jest geniuszem!”, „A mój jest geniuszem geniuszem!”. Mogłoby się tak dalek ganiać jak w piaskownicy, gdyby nie to, że przy okazji wycinają w pień narody (symboliczna scena wojennej rzezi, sugestywnie odegrana na jednym maltretowanym woja-ku; Mateusz Smaczny).

Albo wreszcie scena, gdy nasi podróżnicy trafiają do mitycznego Eldorado, które jakoś niebezpiecznie przypomina rodzimą, rozchwierutaną „arkadę”, przefiltrowaną przez „Wesele” Wyspiańskiego i „Wesele” Smarzewskiego. W którym buduje się mosty przed krwiożerczymi obcymi, a pan i władca na pytanie: „To u was nie wieszają, gdy ktoś ma inne zdanie?” odpowiada: „Chyba byśmy oszaleli, a po co mieć inne zdanie? Wszyscy jesteście jednego zdania”. Czy ta narzucana zero-jedynkowa wizja świata nie brzmi znajomo?

Tak więc jak wiele scen w spektaklu, w których wcale nie jest do śmiechu, tak i wiele jest w inscenizacji przeblasków, które sytuują „Kandyda” jako historię niezwykle uniwersalną. Historyczny barokowy kostium tu w sumie nie ma znaczenia, człowiek - co młody podróżnik ze smutkiem konstatuje - nadal jest taki sam: łakomy, tchórzliwy, krwiożerczy. Podobnie Kandyd rozumie optymizm. To obłęd dowodzenia, że wszystko jest dobre, kiedy nam dzieje się źle.

Zobaczyć trzeba koniecznie. ●

Białostocki Teatr Lalek: „Kandyd czyli optymizm” według Woltera - reż. Paweł Aigner.

Najbliższe spektakle: 14 kwietnia - godz. 18, 15 kwietnia - godz. 11 i 18, 19 kwietnia - godz. 11.